

Nienawiść niczego nie zmienia

Autor: Włodek Mrozek



Urodziłem się i dorastałem w Wolsztynie niewielkim miasteczku położonym w Wielkopolsce. Razem z moimi przyjaciółmi lubiliśmy siadać na zewnętrznych schodach budynku kamienicy i obserwować przechodniów. Śmialiśmy się z mężczyzn będących pod wpływem alkoholu. Już jako nastoletni chłopcy snuliśmy wielkie marzenia dotyczące naszych przyszłych biznesów. Założyłem hodowlę królików z moim przyjacielem Edkiem. Interes był na tyle dochodowy, że już w niedługim czasie za zarobione pieniądze kupiliśmy sobie motorowey marki "Komar".

Zaraz po skończeniu podstawówki rozpocząłem naukę u mistrza dekarzkiego. Fascynowała mnie praca na wysokościach. Bardzo szybko też chcieliśmy być dorosłymi, więc zaczęliśmy palić papierosy i pić alkohol ze starszymi od nas kolegami. Jak się okazało po krótkim czasie zaczęliśmy pić razem z tymi, których wcześniej pokazywaliśmy palcami. Byliśmy nieświadomi, że grzebiemy nasze wcześniejsze marzenia. Problem uzależnienia pogłębiał się z każdym dniem coraz bardziej.

Opamiętanie przyszło gdy poznałem Elżbietę. To dla niej porzuciłem picie alkoholu. Trwałem w trzeźwości - pobraliśmy się. Urodziło nam się troje dzieci: Anita, Krystian i Justyna. Po czasie drzemiały we mnie problem uzależnienia zaczął powracać. Po pracy zamiast wracać do domu i cieszyć się dziećmi i żoną przesiadywałem z kolegami w barach i spelunach. Będąc cholerykiem byłem często wulgarny. Przychodziłem do domu pijany co powodowało spiecia, kłótnie z żoną, płacz dzieci i rozpacz mojej mamy. Najbliższych i inne osoby z byle powodu obrzucałem wulgaryzmami. Gdy atmosfera się nieco oczyściła obiecywałem żonie, że od jutra już nie będę pił. Moja obietnica była szczera, ale pomimo tego nie potrafiłem zapanować nad uzależnieniem.

Rozwijająca się choroba alkoholowa spowodowała, że mając 35 lat straciłem wiarę i chęć do dalszego życia. Pamiętam wczesny poranek 23 marca 1997 roku. Wyszedłem z domu, aby po raz kolejny pić. Jako pierwszy klient o godzinie szóstej rano kupowałem tani alkohol zamiast mleka i bułek dla dzieci. Poszedłem opróżnić butelkę do korytarza kamienicy położonej w rynku gdzie jeszcze nie tak dawno bo zaledwie kilka lat wcześniej śmiałem się z takich jakim byłem w tej chwili. Rozdygotany miałem wielki problem z jej otwarciem. A kiedy już udało mi się ją otworzyć trzymając butelkę oburącz nie mogłem się napić. Zaczęłem płakać widząc do jakiego stanu doprowadził mnie nałóg. Przez uchylone drzwi, spoglądając poprzez konary drzew, spojrzałem na krzyż kościoła farnego i wtedy wyrwało się z mojej piersi "Boże ratuj!" Wylałem niedopity alkohol. Zaczęłem wołać do Boga najszczerszą modlitwą mojego życia mówiąc - Boże ratuj bo ginę! Mimo, iż nie zasługiwałem na Bożą pomoc ona przyszła natychmiast. Wylałem resztę alkoholu.

Po wizycie u pani psycholog zacząłem uczęszczać na spotkania AA. W tej grupie na nowo zrozumiałem potrzebę kochania ludzi. Stałem się bardzo religijnym człowiekiem. Regularnie odwiedzałem sanktuaria w Rokitnie, Licheniu i Częstochowie.

W tym samym roku otworzyłem prywatny zakład dekarzki. Zaczęliśmy w nowym wymiarze funkcjonować jako rodzina. 21 września 2002 roku pojechaliśmy na pierwszą rodzinną wycieczkę w góry Sudety. Pamiętam kiedy weszliśmy na Śnieżkę byłem bardzo zmęczony i

usiadłem, aby zapalić papierosa. Gdy go wypaliłem powstałem na swoje nogi i podszedłem na skraj góry. Wtedy przed moimi oczyma ukazał się wspaniały krajobraz. W geście zachwytu podniosłem swoje ręce i wyraziłem głośno wdzięczność Panu Bogu za piękno Jego dzieła. Z tej wycieczki wróciłem wolny od głodu tytoniowego mimo iż wcześniej podejmowałem wiele nieudanych prób rzucenia palenia.

Gdy ukończyłem 45 lat zrobiłem zawodowe, a następnie średnie wykształcenie. Najmłodsza córka Justyna wraz z małżonką Elżbietą angażowały się bardzo w pracę w warsztacie przygotowując obróbki blacharskie. Gdy córka kończyła osiemnastkę wynajęliśmy lokal. Zaprosiła swoje koleżanki i kolegów. Było radośnie. Otrzymała też wiele życzeń i prezentów.

Pamiętam poniedziałkowe popołudnie 28 kwietnia 2008 roku kiedy razem z córką snuliśmy plany na przyszłość. Żona w tym czasie była na spotkaniu Alanon. Córka wyrażała chęć zajęcia się prowadzeniem księgowości firmy. Zapisła się na kurs prawa jazdy. Mówiła, że będzie pomagała mi rozwozić pracowników do pracy w różne miejsca zlecanych robót w regionie.

Gdy zjedliśmy obiad powiedziała, że wyjdzie jeszcze na krótko do koleżanki. Gdy wstałem o piątej rano przez uchylone drzwi widziałem, że jej tam nie było. Pomyślałem, że może wyszła wcześniej, bo udzielała się w dystrybucji perfum i poszła przygotowywać towar dla klientów.

Gdy z rana odwiozłem już pracowników na budowę wróciłem do domu i wtedy otrzymałem wiadomość od żony, że córka nie powróciła do domu na noc. Koleżanka do której poszła wieczorem powiedziała nam, że Justyna wyszła od niej jeszcze wczoraj.

Tysiące myśli kłębiło się w naszych głowach. Co mogło się stać córce, że do rana nie wróciła do domu? Jej telefon milczał. Rozpoczęliśmy poszukiwania. Przetrzęsaliśmy zarośla, parki, a nawet wchodziliśmy do wody i sprawdzaliśmy brzegi wolsztyńskich jezior. I nic.

Poszukiwania trwały już osiem tygodni. Pewna sąsiadka próbowała nas pocieszać w bardzo nierozsądny sposób, raniąc nas do głębi - mówiła, żebyśmy się nie zamartwiali, bo Justynka była pięknej urody i co najwyżej jacyś ludzie uprowadzili ją i wywieźli do jakiegoś domu publicznego. Nie takie pocieszenie było nam potrzebne.

18 czerwca, po powrocie z pracy otrzymałem telefon od siostry, która powiedziała, że znaleziono "jakieś" zwłoki w liściastym lasku półtora kilometra od naszego domu. Okazało się, że grupa gimnazjalistów przygotowywała sobie tam miejsce na piknik. Jeden z nich oddalił się od grupy za potrzebą i natknął się na leżące zwłoki.

Gdy dotarliśmy z żoną na miejsce była już tam policja i pani prokurator. Około godziny 21-ej wyruszył ku miastu orszak obecnych w tym lasku osób. Gdy podeszli na skraj pola poprosiłem panią prokurator o zidentyfikowanie zwłok - tu i teraz. Prokurator wydała zgodę. Ciało włożone było już do foliowego worka. Najpierw ukazały się buty, a następnie spodnie, bluzka i zmasakrowana twarz - rozpoznałem. Była to nasza córka. Chciałem ją objąć i przytulić. Łzy cisnęły mi się do oczu, a serce było rozdarte. Ręce mi się okropnie trzęsły, gdy miałem podpisać protokół potwierdzający identyfikację ciała.

W domu wraz z członkami naszej rodziny siedzieliśmy tego wieczoru w milczeniu. Miała być naszą ostoją na stare lata! Koszmar! Kto mógł to zrobić? Ciągle wraca mi w pamięci odgłos odsuwanej zamka plastikowego worka.

Przypominam sobie jak rok wcześniej pierwszego listopada w dniu święta zmarłych wracając z cmentarza z grobów dziadków w rozmowie sugerowałem Justynce, aby swoje dalsze życie powierzała każdego dnia Jezusowi. Dużo rozmawialiśmy na tematy religijne.

Każdego poranka po tym zdarzeniu nie chciałem otwierać swoich oczu. Pragnąłem aby to było snem, a nie rzeczywistością. Musiałem nawet nieraz się uszczypnąć, aby mieć przekonanie, że ten koszmar jest faktem, a nie snem. Wcześniej myślałem, że takie sprawy wydarzają się gdzieś daleko i są zarezerwowane na potrzeby programu 997. Idąc ulicą wydawało mi się, że wśród przechodniów mijam zabójcę.

Przez cały rok dział kryminalistyki nie znalazł żadnych dowodów na wyłonienie zabójcy. Po pewnym czasie skontaktował się ze mną redaktor Michał Fajbusiewicz i zostałem zaproszony do jego programu 997 emitowanego w TVP2. W tym programie zwróciłem się z prośbą do ludzi, którzy mogliby w tym temacie pomóc. W czasie emisji programu nieoczekiwanie wypowiedziałem słowa: "Znamy już mordercę; to tylko kwestia czasu, gdy dotrzemy do niego i tych ludzi, którzy wiedzą kto to uczynił". Młodzi ludzie, którzy widzieli program w telewizji zaczęli kojarzyć pewne fakty w tej sprawie, wystraszyli się konsekwencji karnych i poszli na Policję. Zgodzili się na to, aby policjanci w ich ubraniach zainstalowali aparaty podsłuchowe.

W niedługim czasie okazało się, że mordercą jest o trzy miesiące młodszy od naszej córki Mikołaj szkolny kolega Justyny. Jedynek, syn lekarzy.

Na pierwszej rozprawie sądowej byłem na niego okropnie wściekły. Targały mną niesamowite emocje, chęć zemsty. W głowie przeplatały mi się słowa starotestamentowego prawa "oko za oko, ząb za ząb". Rozwahałem zakupienie pistoletu i wymierzenie sprawiedliwości mordercy.

Na drugiej rozprawie pomyślałem, że jedna kula to za mało. Karę muszą też ponieść rodzice chłopaka za złe wychowanie syna oraz jego obrońcy.

Po raz pierwszy z miłości do nieżyjącej córki zacząłem czytać Pismo Święte. Chciałem się dowiedzieć co dla niej jako ojciec w tej sytuacji mogę jeszcze uczynić? Poprzez czytane Słowo coraz bardziej otwierałem się na Pana Boga. Pojawiły się dręczące mnie pytania, bo nie znalazłem w całej Biblii mowy o dogmatach, które sugerowały, że my żyjący możemy ofiarować naszą pomoc tym, którzy już umarli.

W grudniu 2009 roku znalazłem się na spotkaniu domowym u mojej koleżanki Barbary w jej mieszkaniu w Zbąszyniu na którym rozważano fragmenty Pisma Świętego. Zadawałem tam wiele pytań odnośnie dogmatów dotyczących życia i śmierci. W styczniu byłem na nabożeństwie ekumenicznym u ewangelicznych chrześcijan w Nowym Tomyślu. Po tym spotkaniu zaplanowałem sobie, że w kolejne niedziele na godzinę siódmą będę chodził na mszę, a na dziesiątą jeździł na nabożeństwa do Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan do Nowego Tomyśla.

Przeczytałem bardzo ciekawy artykuł z chrześcijańskiej gazety "Cel" w którym na końcu autor sugerował czytelnikom modlitwę do Pana Jezusa Chrystusa. Pomyślałem: co stoi na przeszkodzie, abym to zrobił? Zacząłem jak nigdy dotąd płakać i bardzo szczerze rozmawiać z Jezusem wyznając mu swoje grzechy. Pokój Boży wypełniał moje serce. Następowało prawdziwe oczyszczenie mnie z nagromadzonych emocji i grzechów.

W niedzielę gdy przyjechałem na nabożeństwo poszedłem do biura pastora Adama z prośbą ochrzczenia mnie. Zapytałem czy napuszczą wody do baptysterium dla mnie jednego? Pastor odpowiedział, żebym już o to się nie martwił. Modliłem się o to, aby Pan Bóg dodał jeszcze jakąś osobę, abym nie czuł się osamotniony podczas tego szczególnego dla mnie wydarzenia.

W pierwszy dzień świąt wielkanocnych odwiedził mnie mój starszy brat Krzysztof. Był zaniepokojony i pytał czy ja chcę naszą 84-letnią matkę wpędzić do grobu swoimi postępkami? Usiedliśmy - otworzyłem Biblię i czytałem mu miejsce o jadącym na wozie eunuchu królowej Kandaki i Filipie, który go ochrzcił na pustkowiu na postawie jego wyznanej wiary.

Krzysztof zadzwonił do mnie na drugi dzień w wielkanocny poniedziałek i powiedział, że chce jeszcze na te tematy porozmawiać. I tak 2 maja 2010 roku obaj zostaliśmy ochrzczeni. Na chrzcie były obecne moja żona, córka Anita, ale one nie zrozumiały do końca naszej decyzji i biblijnego chrztu. Gdy próbowałem na głos w pokoju czytać Pismo Święte Elżbieta podgłaszała radio lub telewizor.

W sercu córki Anity w niedługim czasie zrodziło się pragnienie pojechania na nabożeństwo do ewangelicznych chrześcijan. W krótkim czasie dołączyła żona. 3 października 2010 roku obie zostały ochrzczone w baptysterium przez zanurzenie w wodzie w KECh w Nowym Tomysłu.

Wcześniej rutynowo zmaślałem każdego dnia modlitwę "Ojcze nasz" Teraz rozważałem dogłębnie zapisane słowa "Ojcze nasz przebacz nam nasze winy jak i my przebaczymy naszym winowajcom". Z ludzkiego punktu widzenia rodziło się we mnie pytanie: "Jak to? Ja mam przebaczać mordercy?!". Uklęknąłem i mówiłem: Panie Boże chyba nie chcesz mi powiedzieć, że Ty sugerujesz, abym przebaczył mordercy naszej Justynki? Usłyszałem - przebacz! Bóg mną potrząsał do momentu, aż wpuściłem do mojego serca przekonanie, że nie mogę się spodziewać przebaczenia moich grzechów jeżeli ja nie przebaczę. Przyznaję, że nie było łatwo mi podjąć i wyrazić taką decyzję. Było to niezwykle trudne.

Pan Bóg pracował we mnie do momentu aż mogłem wypowiedzieć głośno - przebaczam temu młodemu człowiekowi morderstwo mojej ukochanej córki.

Trzy lata sąd prowadził dochodzenie w sprawie tej zbrodni. Był to proces poszlakowy. Przed kolejną sprawą modliłem się, aby orzeczony wyrok nie był wyrokiem zemsty, ale czasem danym temu młodemu człowiekowi na rozmyślanie o sensie jego pojawienia się na tym świecie. Na kolejnej, ostatniej rozprawie sądowej już innymi oczyma patrzyłem na mordercę mojej córki. Zobaczyłem go jako młodego chłopaka, który nie miał w chwili swoich narodzin napisu na czole - narkoman, morderca. Dopiero dorastając jego dusza, ciało i umysł zostały skażone narkotykami, nadużywaniem alkoholu i grzesznymi pożądaniami.

Postanowiłem, że na sprawie nie będę zabierał głosu, gdyż nie jestem dobrym mówcą. Jednak sędzina zwróciła się do mnie jako oskarżyciela posiłkowego z zapytaniem: czy chce Pan, Panie Włodzimierzu zabrać głos? Nawet ku własnemu zaskoczeniu odpowiedziałem - tak! Wtedy odwróciłem się w stronę zabójcy i powiedziałem: "Mikołaju być może zrujnowałeś znaczną część swojego życia, ale chciałbym, abyś wiedział, że Pan Bóg cię nie potępia, ja cię nie potępiam, jeżeli Pan Bóg ci przebaczy możesz zyskać wejście do Jego Królestwa. Nie mam już do ciebie żalu." Po skończonej mowie poprosiłem sędzinę o to czy zgodzi się abym mógł podarować oskarżonemu egzemplarz Pisma Świętego Nowego Testamentu. Sędzia

zgodziła się. Obrońcy nie kryli zdumienia.

Sędzia, adwokaci i wszyscy zgromadzeni na sali rozpraw płakali. Byli do głębi wstrząśnięci, bo nigdy wcześniej nie słyszeli takiej mowy osoby pokrzywdzonej. Zabójca ani jego rodzice nie wypowiedzieli nawet zwykłego słowa "żałuję - przepraszam". Po moim wystąpieniu ogłoszono przerwę, a po niej odczytano wyrok - 25 lat więzienia.

Taką niecodzienną mowę końcową na sali rozpraw mogłem wypowiedzieć tylko jako odkupiony i przemieniony przez mojego Pana i Zbawiciela Jezusa Chrystusa człowiek. Wiadomym przecież jest, że żaden lek, używki czy alkohol nie mogą dać ukojenia zranionej duszy. Mógł to uczynić tylko Ten, który niewinny cierpiał i umarł oddając dobrowolnie swoje życie za nasze grzechy - Jezus Chrystus. Jemu Chwała na całą wieczność!

Świadectwo jest częścią książki (zbioru świadectw), pt. "Szczęściarz urodzony w PRL-u".